

TEMATY TYGODNIA

- 13 Anna Dąbrowska
Kuriozalna kampania referendalna
- 16 Anna Dąbrowska
PiS: prezes listy pisze

RAPORT: POLSKA PRZED WYBOREM

- 20 Ewa Wilk
Czy i jak reformować polską szkołę

POLITYKA

- 24 Joanna Solska
Leśne Państwo

SPOŁECZEŃSTWO

- 27 Agnieszka Krzemińska, Urszula Schwarzenberg-Czerny
Legenda o złotym pociągu
- 30 Juliusz Ćwieluch
Pancernego Dzika tanio sprzedam
- 32 Piotr Pytlakowski
Podpaleni w Zgorzelcu
- 36 Elżbieta Turlej
BEZPIECZNI NA DRODZE Strażnik dzieci

RYNEK

- 38 Adam Grzeszak
Łowy na Jaguara
- 42 Urszula Szyperska
Domy na upały

ŚWIAT

- 44 Adam Krzemiński
JAPONIA Wojna na Pacyfiku: jak przeprosić i przebaczyć
- 47 Artur Domosławski
MEKSYK Mafia i władza razem
- 50 Piotr Kowalcuk
WŁOCHY Jak Maria Giulia stała się Fatimą
- 52 Marek Ostrowski
SZWAJCARIA Kraj referendów



16 Ukryta gwardia PiS



20 Wracamy do przedszkola?



27 Pociąg do tajemnic



47 MEKSYK Rządy nieznanych sprawców

HISTORIA

- 54 Joanna Podgórska
Kulisy śmierci prezesa NIK
- 57 Tomasz Targański
Singapur – fenomenalny 50-latek

NAUKA

- 60 O niezwykłych owadach opowiada dr **Piotr Naskręcki**, entomolog z Uniwersytetu Harvarda
- 64 Agnieszka Krzemińska
Mistyczna Śleza

KULTURA

- 72 Aneta Kyzioł
„Dziewczyny ze Lwowa” – kolejny serial twórców „Rancza”
- 76 Justyna Sobolewska
Houellebecq i jego czarna wizja przyszłości
- 79 KAWIARNIA LITERACKA
Jacek Dehnel
- 80 Dorota Szwarzman
Nasze nowe sale koncertowe
- 83 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 84 Marta Wróbel
Compton, kolebka hip-hopu
- 88 Marcin Piątek
Piłka według Nawałki
- 92 Ryszard Wolff
Szwedzki kucharz, który rzuca polskim mięsem

NA WŁASNE OCZY

- 100 Olga Gitkiewicz,
fotografie Filip Springer
Śmierć miejskich rynków

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 68 Afisz • 96 Passent
- 97 Tym • 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaje



www.mleczeko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

ślawomir mizerski z życia sfer

Hydrozagadka

Wszyscy się zastanawiają, kto stoi za panującą w kraju suszą. Niektórzy chętnie obarczyliby winą Andrzeja Dudę, chociaż uważam, że niesłusznie. Polityk ten wprawdzie wiele naobiecował, ale trzeba uczciwie powiedzieć, iż nie obiecał, że nie będzie suszy czy innych nieszczęść. Przeciwnie, ostrzegał, że jeśli u władzy pozostanie obecny układ, nieszczęścia będą i, jak widać, się nie pomylił, co tylko potwierdza jego polityczną przenikliwość.

W tej sytuacji za suszą może stać koalicja PO-PSL, której rządy najpierw do suszy doprowadziły, a teraz nie robi nic, żeby jej nie było, jeśli nie liczyć modlitw ministra rolnictwa o deszcz (zresztą nieskutecznych, co świadczy o kompletnym braku jego kompetencji). Pod rządami PiS woda była naszym narodowym bogactwem i dziedzictwem, a każde polskie dziecko miało jej tyle, ile potrzebowało, żeby się napić i umyć. Teraz ko-

ryta głównych polskich rzek, z Wisłą – ich matką – na czele, świecą pustką. Ale wiadomo, kto przy tych korytach przez ostatnie osiem lat był i kogo od tych koryt tak trudno było oderwać. Nie jest tajemnicą, że politycy tej koalicji odpowiadają już za zniknięcie polskich banków, polskich mediów, a także próbę zniknięcia polskich lasów państwowych, dlatego wiele osób ma nadzieję, że odpowiedzą też za zniknięcie wody z polskich koryt.

Synoptycy pocieszają, że lato się kończy, a w okresie jesiennym zmieni się niekorzystna cyrkulacja baryczna. Podobno Polska nie będzie już dłużej w obrębie ciepłych mas powietrza kontynentalnego i zwrotnikowego, a dostanie się w strefę chłodniejszych i wilgotnych mas powietrza znad Atlantyku. Uważam, że to dobrze, bo wielu Polaków na tę zmianę czeka i za tą zmianą się opowiada. Osoby te z ciepłymi masami

powietrza kontynentalnego i podzwrotnikowego wiązały spore nadzieje, ale niestety się rozczarowały. Zwrotnikowe masy zawiodły je, pokazując swoją prawdziwą twarz, dlatego zdaniem tych osób nad nasz kraj powinny wreszcie napłynąć świeże masy powietrza znad Atlantyku, o które wielu się modli, bo ich zdaniem zapewnią Polsce i Polakom zdrowy rozwój.

Wilgotne masy świeżego powietrza znad Atlantyku mają przynieść dobrą dla Polski zmianę i doprowadzić do ustąpienia suszy. Synoptycy z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej mają nadzieję, że niedobory wody zostaną uzupełnione w czasie następnego wiosennego okresu roztopowego. A ponieważ wiele wskazuje na to, że w następnym okresie roztopowym w kraju będzie już rządził rząd Beaty Szydło, jestem pewien, że do uzupełnienia niedoborów dojdzie w sposób sprawny i niedopuszczający powodzi.



felieton



Kochasz?

Uważaj na pieszych. **To mogą być Twoi najbliżsi.**

620 000 odblasków dla pierwszaków od Fundacji PZU.

Dowiedz się więcej na stopwariatom.pl



FUNDACJA



Ludzki niehumanitarny potop

Dantejskie sceny na zakorkowanej granicy Macedonii z Grecją, którą uściłowały sforsować setki imigrantów, oraz porzucona ciężarówka z Węgier, znaleziona na poboczu autostrady w Austrii, z ciałami 71 przemycanych Syryjczyków – to dwa symboliczne obrazy minionego tygodnia. Do Europy w tym roku dotarło już, według UNHCR, ponad 300 tys. uchodźców, głównie z Syrii (z niej na skutek wojny uciekło ponad 4 mln osób), Iraku, Somalii, Sudanu, Erytrei. Tylko w lipcu w Grecji, po drodze z Turcji, wylądowało 50 tys. nielegalnych uchodźców; na Węgry, które kończą budowę mur na granicy z Serbią, dotarło 140 tys. Docelowo wielu zmierza do Niemiec i Szwecji, które mają najlepszą opinię wśród poszukiwaczy azylu. Niemcy przewidują w tym roku astronomiczne 800 tys. wniosków azylantów. Głównie Albańczyków, Serbów i Kosowarów. Systematycznie się tu im azylu odmawia: w tym roku pozytywnie rozpatrzono 2,2 proc. wniosków z Albanii, 0,2 serbskich i 1,1 proc. mieszkańców Kosowa. Ale procedura musi się odbyć i trwać. Szwecja nauczyla się ją przeprowadzać w cztery dni, też odrzucając większość wniosków kandydatów na azylantów z listy „krajów bezpiecznych”. Tylko Syryjczycy dostają tam akceptację niejako z automatu. To przyciąga nowych.

Największa europejska wędrowna ludów od czasów drugiej wojny wyraza na najwęższy problem, który będzie systematycznie narastał – i wymaga nowych, pilnych i wspólnych rozwiązań dotyczących bezpieczeństwa granic, prawa azylu i solidarnej dystrybucji imigrantów między poszczególnymi krajami. Kraje europejskie zgodziły się podzielić między siebie 55 tys. uchodźców, ale na razie więcej tu konfliktów interesów niż zrozumienia. 15 września będą na ten temat debatować szefowie MSW państw unijnych, ma to stanowić przygotowanie do imigracyjnego szczytu Unii. Ale na horyzoncie nie widać żadnej zgody, a tylko rosnącą rzekę zdesperowanych cudzoziemców.

Papryczka kontra prawniczka

Rządzący Tajwanem Kuomintang ogłosił, że w nadchodzących wyborach prezydenckich wystawi panią Hung Hsiu-chu. Obecna wicemarszałkini parlamentu w walce o najwyższe stanowisko w państwie zmierzy się z przewodniczącą opozycyjnej Demokratycznej Partii Postępu Tsai Ing-wen. W ciągu ostatnich kilku lat kobiety zostawały prezydentami lub premierami także w Korei Południowej, Bangladeszu, Tajlandii oraz na Filipinach, ale wszystkie na-

leżały do wpływowych politycznych rodów, a wcześniej podobne stanowiska dzierżyli ich ojcowie, bracia lub mężowie. Tymczasem obie kandydatki na Tajwanie do nominacji doszły własną ciężką pracą. Tsai Ing-wen wcześniej robiła błyskotliwą karierę prawniczką i już w wyborach prezydenckich przed trzema laty zdobyła 45 proc. głosów. Hung Hsiu-chu, której ojciec był w latach 40. przez jej obecną partię prześladowany jako rzekomy komunista, to była nauczycielka

powszechnie nazywana „ostrą papryczką”, bo zawsze bezkompromisowo broni własnych poglądów.

Miejscowi komentatorzy z zadowoleniem podkreślają, że Tajwan już teraz ma największą w Azji Południowo-Wschodniej liczbę parlamentarzystek, tymczasem w Chinach (które uznają wyspę za swoją zbuntowaną prowincję) na czołowych partyjnych stanowiskach jest dziś mniej kobiet niż w czasach Mao.

Ból i wstyd szkockich biskupów

Najpierw była prezentacja raportu śledczego na temat problemu pedofilskiego w Kościele rzymskokatolickim w Szkocji. Raport przygotowała komisja pracująca – co ciekawe – pod kierunkiem duchownego protestanckiego Andrew McLellena, zaproszonego przez katolicki episkopat. Nie zabrakło w niej kobiet zajmujących się opieką nad pokrzywdzonymi dziećmi. Byli też dwaj biskupi. Komisja miała zbadać problem od strony procedur i zabezpieczeń dotyczących nadużyć seksualnych i stosowania przemocy w szkockim Kościele. Wprowadzono je w 2007 r., lecz nie wystarczają, choć idą w dobrym kierunku. Raport wylicza zalecenia, które Kościół powinien wcielić w życie, jeśli chce zachować wiarygodność. Po pierwsze: wynagrodzić krzywdy wyrządzone ofiarom. Zaraz po prezentacji raportu szef katolickiego episkopatu Szkocji abp Glasgow **Philip Tartaglia** publicznie



przeprószył ofiary i podkreślił, że biskupi odczuwają ból i wstyd, że ktokolwiek w Kościele mógł dopuścić się takich nadużyć, ale także z powodu cierpień, jakie one przyniosły ofiarom. Jedną z nich jako ośmioletnią dziewczynkę została najpierw zgwałcona przez zakonnice, a kiedy powiedziała o tym księdzu podczas spowiedzi, ten wspólnie z tą samą zakonnice zgwałcił ją ponownie. Ujawnione w ostatnich latach skandale pedofilskie z udziałem duchownych katolickich, w tym samego kard. Keitha O'Briena (podał się do dymisji w 2013 r.), bardzo zaszkodziły reputacji Kościoła w Szkocji. Teraz szef szkockiego episkopatu nie robił uników w stylu polskim, przerzucających odpowiedzialność za czyny pedofilskie na dzieci. Fotografował się z raportem na sercu, prosił o przebaczenie za brak reakcji i obojętność w Kościele, obiecał realizację wszystkich zaleceń komisji McLellena.



Spadki i plotki

Wykresy wartości akcji na chińskich giełdach przypominają trasę przejażdżki kolejną górską, od dwóch miesięcy dominują ostre zjazdy. Wraz z nimi miliony drobnych inwestorów, których do wejścia na parkiet zachęciły niedawne wzrosty, przechodzą przyspieszony kurs obsługi rynku kapitałowego: na giełdzie, jak w kasynie, nikt nie gwarantuje wygranych. Spadki zaskoczyły także komunistycznych liderów, dawno nie mieli tak dużego kłopotu, tak pilnie wymagającego rozwiązania. Rynek akcji wymknął im się z rąk, nie zadziałały żadne dotychczasowe pomysły ratunkowe, więc zrobili to, co zawsze w obliczu kryzysu: udają, że kontrolują sytuację, i demonstrują jedność.

Albo że jednocześnie toczą dyskusje zamknięci za murami Zhongnanhai, dzielnicy pełniącej funkcję chińskiego Kremla, zaczęły stamtąd wyciekać rozmaite plotki. Według pierwszej przywódca bezpardonowo piorą brudy i szykują korektę gospodarki (ile państwa, ile wolnego rynku), czyli ustalają, które frakcje partyjne i powiązani z nimi biznesmeni stracą najwięcej. W plotkę drugą zdaje się wierzyć Wang Jianlin, największy chiński deweloper, ściśle powiązany z wieloma wpływowymi sekretarzami. Wzywa, by zrewidować oficjalne fantazje o wzroście gospodarczym, jego zdaniem w 2015 r. realnie sięgnie on góra 5–6 proc., choć rząd upiera się przy 7–8 proc.

Na razie władze szukają kozłów ofiarnych. Znając siłę rozpuszczonej plotki, aresztowały już Wanga Xiaolu, dziennikarza dwutygodnika gospodarczego „Caijing”. Miał podsycić giełdową panikę, powtarzając niesprawdzone informacje.

Duńczycy też mają referendum

Nie tylko Polskę czeka kontrowersyjne referendum, a może i dwa. Dania 3 grudnia będzie musiała zdecydować, czy chce przyjąć unijne reguły dotyczące wymiaru sprawiedliwości. Jeszcze w 1992 r., podczas podpisywania formalnie zakładającego Unię Europejską traktatu z Maastricht, sama się spod nich wyłączyła (a także z zapisów dotyczących unijnych spraw wewnętrznych, walutowych, obronności i obywatelstwa). Ale teraz ściślejsza współpraca stała się nowym warunkiem pozostania w europejskiej agencji Europol, a premier Lars Lokke Rasmussen przekonuje rodaków, że bez międzynarodowego policyjnego wsparcia Dania nie poradzi sobie z przestępczością na własnych granicach. To kolejna wolta ze strony szefa rządu, bo tuż przed czerwcowymi wyborami jego zwykle prounijna partia niespodziewanie wydała wspólne oświadczenie z nacjonalistyczną Duńską Partią Ludową, w którym gorąco poparła Davida Camerona w sporach z Brukselą. Teraz jednak Rasmussen przyspieszył pierwotnie planowane na przyszły rok referendum, właśnie po to, żeby Duńczycy nie sugerowali się brytyjskim głosowaniem nad unijnym „być albo nie być”.

Więcej Estonii

Ita o całą jedną trzecią, teraz liczy 45,3 tys. km kw. Takie sensacyjne wyniki przyniosły najnowsze badania topograficzne prowadzone z powietrza. W podręcznikach szkolnych stoi jak byk, że Estonia posiada 1521 wysp. Teraz ich liczba – jak ogłosiły władze – wzrosła do 2355. Podnosi to dumę narodową, ale trochę jest zabawą na papierze: większość nowych obiektów to piaszczyste łachy, a tylko 318 wysp ma ponad hektar powierzchni. I zdaniem kompetentnej Agnes Jürjens sztormy i silne wiatry mogą znacznie zmienić sytuację.



Włoskie muzea, niemieccy dyrektorzy

stracił zasłużony Antonio Natali, a na jego miejsce zatrudniono niemieckiego historyka sztuki Eike Schmidta. Natali żalił się, że nie miał szans wygrać rozpisanego przez ministerstwo konkursu, bo – jak powiedział mi w zaufaniu urzędnicy – żeby zostać na miejscu, musiałby zmienić nazwisko na Anthony Christmas. Część Włochów oburza się tymi zmianami. Rząd krytykuje też eksperci z uniwersytetów, twierdząc, że nowi dyrektorzy wcale nie są najlepszymi z najlepszych i sensowniejszy wybór jest wśród samych Włochów, tym bardziej że wielu z nich rozwijało swoje kariery za granicą.

Wśród 20 nowych dyrektorów wyznaczonych przez włoskie ministerstwo kultury do szefowania największym krajowym muzeum i galeriom aż siedmiu to obcokrajowcy (trzej Niemcy, dwaj Austriacy, Brytyjczyk i Francuz). Ostatnio we Florencji stanowisko dyrektora słynnej Gallerii Uffizi

Jednak urzędnicy ministerstwa kultury tłumaczą, że świeża krew ma być odpowiedzialnością na dotychczasowe problemy. Czyli na fatalne zarządzanie (zeszłego lata obraz Rafaela „Złożenie do grobu” został wystawiony na działanie ogromnych upałów, bo przez pół roku dyrekcja rzymskiej Gallerii Borghese nie potrafiła podjąć decyzji o naprawie klimatyzacji), niewłaściwe promowanie własnych zbiorów (włoskie placówki odwieczna wyrażnie mniej turystów niż francuskie i brytyjskie), krótkie godziny otwarcia włoskich muzeów czy zbyt powolną digitalizację zbiorów.



© VPHOTO/EAST NEWS

Opuszczony Karolak?

To był tydzień, który przyniósł sporo materiału do spekulacji na temat efektów przetarasowań na scenie politycznej. Z placu Zbawiciela zwinęła się tęcza, jeden z najbardziej znienawidzonych przez prawicę dziennikarzy – Jarosław Kuźniar – odszedł z TVN24 (piszemy o tym niżej), a **Tomasz Karolak** poinformował o kłopotach finansowych swojego teatru: „IMKA odwołuje plany repertuarowe na sezon 2015/2016. Powodem jest wycofanie się sponsorów”. Nie brakuje opinii, że opuszczenie Karolaka przez biznes to próba odcięcia się od aktora, który jeździł tuskobusem, wspierał w ostatniej kampanii

prezydenckiej Bronisława Komorowskiego, a w programie „Tomasz Lis na żywo” czytał nieszczęsne fałszywe tweety Kingi Dudy.

Złośliwi komentowali, że sponsorzy poszli w ślady samego Karolaka. Aktor w udzielonym w lipcu propisowskiemu tygodnikowi „wSieci” wywiadzie zarzucił PiS cenzorskie zapędy i ignorancję w dziedzinie kultury, jednocześnie jednak dość niezręcznie tłumaczył się z poparcia dla Komorowskiego. Miał to być rewanż za to, że pięć lat wcześniej, przychodząc do IMKI na przedstawienie „Dzienników” Gombrowicza, przyczynił się do promocji początkującej sceny,

co miało z kolei przyciągnąć sponsorów. Do tego Karolak beszał PO m.in. za brak referendum w sprawie sześciolatków w szkołach czy za aferę taśmową. Czy łączy odejście sponsorów ze swoim politycznym zaangażowaniem? – *Nie sądzę, cała sprawa rozgrywała się na początku roku, a moje zaangażowanie w kampanię prezydencką to późniejszy okres.*

Krótki research ujawnia, że IMKĘ na skraju bankructwa postawiło nie tyle odejście sponsorów – Karolaka wciąż wspierają dwie firmy z branży nieruchomości i jedna z branży odszkodowań – co jednego, za to strategicznego. Chodzi o PKN Orlen, spółkę Skarbu Państwa, zapewniającą przez ostatnie lata blisko jedną trzecią 3-milionowego budżetu teatru. „W kwestii umowy na sponsoring Teatru IMKA, jak również umowy wizerunkowej dotyczącej współpracy z Tomaszem Karolakiem, obie umowy wygasły na koniec 2014 r. i nie podjęliśmy decyzji o kontynuacji współpracy” – napisało Biuro Prasowe PKN Orlen w odpowiedzi na nasze pytanie o powody zakończenia tej współpracy. I proszę o skomentowanie informacji, iż rezygnacja miała nastąpić nagle i bez podania przyczyn. Karolak pomocy szukał u Jana Kulczyka, jednak śmierć biznesmena położyła kres rozmowom. Dziś IMKA szuka nowego sponsora strategicznego i ma nadzieję, że ambitne premiery i koprodukcje (w tym spektakl w reż. Krystiana Lupy) uda się zrealizować w kolejnym sezonie. Do końca roku pokaże jedynie trzy spektakle sprowadzone w ramach festiwalu „Polska w IMCE”, sponsorowanego przez państwowy PKO BP i Ministerstwo Kultury. **AK**

PiSożerca na śniadanie

Jarosława Kuźniara albo się kocha, albo nienawidzi. Jego przeciwnicy od ubiegłego tygodnia triumfują – znany prezenter rozstał się z TVN24. Sympatycy spekulują zaś, że Kuźniar jest pierwszą ofiarą polityki nowych amerykańskich właścicieli TVN (Scripps Networks Interactive), którzy już ustawiają się pod przyszłą – pisowską – władzę. 37-letni dziennikarz od ponad 8 lat był gospodarzem porannego programu „Wstajesz i wiesz” i jedną z najbardziej charakterystycznych twarzy stacji. Czytelne poglądy i sarkastyczne poczucie humoru sprawiały, że niejednokrotnie wzbudzał kontrowersje i stawał się celem ataku, zwłaszcza ze strony sympatyków PiS. Nie miał z nimi łatwo szczególnie w mediach społecznościowych, gdzie aktywnie się udziela – jest najpopularniejszym polskim dziennikarzem na Twitterze (obserwuje go niemal 300 tys. osób). Kuźniar zasłynął z syzyfowej walki z hejterami – chcąc ukrócić wylew internetowej złości, postanowił publikować dane osobowe atakujących go ludzi. Na niewiele się to zdało, zwłaszcza że niedługo potem dał im powód do kolejnej nagonki – pochwalił się, że w daleką podróż nie zabiera wielu rzeczy, potrzebne kupuje na miejscu, a pod koniec wyjazdu zwraca do sklepu.

Teraz nieprzychylni dziennikarzowi internauci znowu drwią, bo Kuźniar odchodzi z TVN24, ale nie rozstaje się ze stacją – będzie jednym ze współprowadzących poranny program „Dzień dobry TVN”. I choć oficjalnie stacja stara się przedstawiać ten transfer jako awans, niewiele wierzy, że telewizja śniadaniowa rzeczywiście „wychodzi naprzeciw ambicjom” (cytat z komunikatu TVN) dziennikarza z publicystycznym

zacięciem. Poglądy Kuźniara po powrocie PiS do władzy mogłyby być dla stacji niewygodne. W programie śniadaniowym będzie miał zdecydowanie mniej okazji do rozmów o polityce, no chyba że w kontekście urodziwych partnerek polityków czy ich garderoby.

Pewnie dlatego z przesunięcia Kuźniara tak ucieszyła się prof. Krystyna Pawłowicz. Posłanka PiS oznajmiła zresztą, że to jej zasługa – kara i „szybka reakcja TVN” na facebookowy wpis, w którym dopominała się, aby prezenter „Wstajesz i Łiesz” dokończył studia medialne w szkole o. Rydzka (wcześniej lekcje w Toruniu i wakacje od pracy obiecywała reporterce TVP Justynie Dobrosz-Oracz). Działacze i sympatycy PiS nie kryją, że próbują wywierać nacisk na nowych właścicieli TVN. Niedługo po zakupie pakietu kontrolnego TVN przez medialny koncern z konserwatywnego stanu Tennessee wystosowali nawet list, w którym informowali Amerykanów o „całkowicie antydemokratycznym” przekazie TVN, łamaniu standardów medialnych i „agresywnej wymowie propagandowej”. Sygnatariusze – w tym m.in. prof. Piotr Gliński, Krzysztof Czabański i Jacek Karnowski – wyrażali nadzieję, że nowy właściciel „ucywilizuje” telewizję.

– *Reorientację widać. Nagle w stacji ujawniło się wielu zwolenników PiS. Nie ma Durczoka, Kuźniar odchodzi. Szefowie stacji to są inteligentni ludzie i wiedzą co nieco o Amerykanach* – mówi dziennikarz, do niedawna w TVN. Jarosław Kuźniar zaprzecza, aby jego odejście miało kontekst polityczny. Jak mówi: – *Przez pół roku udawało mi się rozwijać moją pasję, biuro podróży, bez szkody dla nikogo, aż zostałem postawiony przed wyborem: albo dziennikarstwo informacyjne, albo własny biznes. Szefowie uznali, że mógłby się pojawić konflikt interesów. Postawiłem więc na własną ścieżkę.* (MLWII)



© CZESŁAW CZAPLINSKI/FOTONOVA



© MARCIN GADOMSKI/EAST NEWS

Cena za wolną stopę

Marcin Dubieniecki, któremu zostały przedstawione zarzuty kierowania zorganizowaną grupą przestępczą, wyłudzenia 13 mln zł z PFRON oraz prania brudnych pieniędzy, miał na wniosek prokuratury trafić

do tymczasowego aresztu. Sąd zdecydował jednak, że Dubieniecki – jako jedyny z czterech podejrzanych w sprawie – będzie mógł opuścić areszt po wpłaceniu 600 tys. zł kaucji. Prokuratura niezwłocznie złożyła zażalenie uniemożliwiające Dubienieckiemu opuszczenie aresztu do czasu jego rozpatrzenia. Stanie się to 4 września na specjalnym posiedzeniu w wydziale odwoławczym krakowskiego Sądu Okręgowego. Jeżeli zażalenie zostanie oddalone, Dubieniecki (kaucja już wpłynęła na sądowe konto) będzie mógł wyjść na wolność i odpowiadać z tzw. wolnej stopy. Sprawa ta wywołała publiczne zgorszenie: prawdopodobny organizator przestępstwa za małą część wyłudzonej sumy może wyjść na wolność i manipulować świadkami?

W polskim prawie karnym poręczenie majątkowe, zwane potocznie kaucją, jest stosowane jako jeden ze środków zapobiegawczych (obok m.in. tymczasowego aresztowania, dozoru policyjnego czy zakazu opuszczania kraju). Zastosować je może prokurator w postępowaniu przygotowawczym, ale po przedstawieniu zarzutów, jak również sąd, zmieniający na kaucję wniosek prokuratora o tymczasowy areszt. Kaucję w postaci pieniędzy, papierów wartościowych, zastawu lub hipoteki może wpłacić sam podejrzany lub osoba trzecia, której personalia muszą być jednak znane. Artykuł 266 § 2 Kodeksu postępowania karnego określa, że kryteriami decydującymi o wysokości kaucji jest w pierwszej kolejności sytuacja materialna oskarżonego oraz

osoby składającej poręczenie, wysokość wyrządzonej szkody oraz charakter popełnionego czynu. Są to stwierdzenia dość ogólne, a orzecznictwo Sądu Najwyższego jako szczególnie ich nie doprecyzowuje.

Prawdziwym czynnikiem w ustalaniu wysokości kaucji jest sytuacja finansowa podejrzanego. Prof. Piotr Kardas z Uniwersytetu Jagiellońskiego mówi, że w przypadku Marcina Dubienieckiego wystarczy spojrzeć na samochody, którymi się porusza. Ich wartość może sugerować, że jego sytuacja materialna nie należy do najgorszych, a wpłata 600 tys. zł nie powinna być problemem. Zdaniem prof. Kardasa środek zapobiegawczy w postaci poręczenia majątkowego ma służyć przede wszystkim temu, by podejrzany nie utrudniał prowadzonego śledztwa – stawiał się na każde wezwanie sądu lub prokuratury, nie namawiał świadków do składania fałszywych zeznań oraz nie uciekł z kraju. Musi to być kwota, która jest możliwa do zdobycia, a jednocześnie na tyle wysoka, by jej utrata stanowiła dla poszkodowanego istotny uszczerbek. W historii polskiego sądownictwa zdarzało się, że kaucja wynosiła nawet 8 mln zł (wpłacona przez przedsiębiorcę Romana Kluskę w 2002 r.). W przypadku utrudniania śledztwa lub dochodzenia sądu może zdecydować o częściowym lub całkowitym przepadku wpłaconej kaucji. Sąd nie uzasadnił, dlaczego sprawę Dubienieckiego wycenił na 600 tys. zł.

(A.Dob.)

Ubezpieczenie od fikcji

Z powodu najgorszej od lat suszy straty rolników są ogromne, ale nie pokrywają ich towarzystwa ubezpieczeniowe, tylko budżet państwa. Rząd już obiecał prawie pół miliarda złotych na ten cel. Formalnie rolnicy otrzymujący unijne dopłaty muszą ubezpieczać przynajmniej połowę swoich upraw, ale tylko od jednej, wybranej przez siebie kłęski żywiolowej. Na liście, obok suszy, znalazły się gradobicie, powódź, niewłaściwe przezimowanie zasiewów czy przymrozki. Żeby rolników zachęcić do kupowania polis, państwo ponosi część kosztów takich ubezpieczeń. Pokrywa połowę składki, pod warunkiem że wynosi ona maksymalnie 3,5 lub 5 proc. sumy ubezpieczenia, w zależności od typu upraw. W praktyce rolnicy, którzy decydują się na polisę, najczęściej wybierają ubezpieczenie od gradu, bo jest najtańsze. Polis od suszy w całym kraju wykupiono w tym roku niespełna sto (!). Spośród trzech towarzystw oferujących ubezpieczenie z rządową dopłatą – Concordia polisy



© TOMASZ PACZOŚ/FOTONOVA

od suszy w ogóle zlikwidowała, a PZU i TUW przyznają, że zainteresowanie nimi jest prawie zerowe.

Wszystko dlatego, że taka polisa okazuje się droższa od pozostałych. Kosztuje przynajmniej 6 proc. sumy ubezpieczenia i państwo nie chce jej już dotować. A rolnicy wychodzą z założenia, że w przypadku kłęski suszy rząd i tak im pomoże. Mają rację, bo PSL w trakcie kampanii wyborczej wywalczył, aby poszkodowani suszą

rolnicy dostawali 400 lub 800 zł za każdy hektar. Tę wyższą kwotę przeznaczono dla uprawiających owoce i warzywa. Kto jednak nie wykupił obowiązkowego ubezpieczenia od przynajmniej jednej kłęski, ten ma otrzymać za karę o połowę mniej. Dla wielu (być może nawet 90 proc.) rolników to nic innego jak dyskryminacja i skandal, bo oczywiście żadnych polis nie mają.

W ubiegłym roku wykupiono w Polsce niewiele ponad 140 tys. ubezpieczeń upraw, a dopłaty bezpośrednie pobiera 1,3 mln rolników. Obowiązkowe polisy są zatem w rzeczywistości fikcją. Kara za ich brak to tylko dwa euro od hektara, ale samorządy nawet takich mandatów prawie nie wystawiają. Jaki sposób wymyślił obecny rząd, żeby to zmienić? Zamiast dostrzec kontrole, zwiększy jeszcze dopłaty do ubezpieczeń. Zgodnie z nową ustawą budżet państwa pokryje już nie połowę, ale aż 65 proc. kosztów polis. Jednak trudno mieć nadzieję, że to zmieni mentalność rolników. W końcu i tak mogą zawsze liczyć na specjalne traktowanie, jakie zapewniali im dotąd wszystkie rządy. Bez względu na wynik wyborów z pewnością się to nie zmieni.

C.Kow.

Kto tu rządzi?

Gdyby ktoś chciał ustalić, kto dziś w Polsce naprawdę rządzi, miałby spory kłopot. Niby rządzi premier Ewa Kopacz, ale nie wydaje się, aby ten fakt przychodził do wiadomości nie tylko pan prezydent Andrzej Duda, który panią premier omija szerokim łukiem, ale nawet pani wiceprezes Beata Szydło, która zniecierpliwiona zagania panią premier do roboty. Prezydent Duda też podobno rządzi, a przynajmniej tak mu się wydaje, które to przekonanie zawarł w słynnym zdaniu, że pani premier prowadzi kampanię, a on zajmuje się sprawami Polaków. Skoro jednak nie potrafi marszałkowi Senatu Bogdanowi Borusewiczowi odpowiedzieć na proste pytanie, jakie będą skutki finansowe zmian w systemie emerytalnym, o które za pomocą pytania referendalnego zabiega, bo brakuje mu informacji, to co to za rządzienie? Gdyby rządził, mógłby na przykład zapytać ministrów pracy i finansów, jak się rzeczy mają, ale okazuje się, że najwyraźniej nie może. Nie może bowiem dowartościować nieistniejącego już, zdaniem PiS, rządu? Pani wiceprezes Szydło zdaniem większości mediów też już rządzi, gdyż każdy jej krok i każda wypowiedź są odnotowywane z taką uwagą, jakby miały zasadniczy wpływ na stan spraw państwowych, ale być może, jak przyjdzie co do czego, prezes Kaczyński zrezygnuje z jej usług, zwłaszcza że informacja o sposobie zarządzania gminą Brzeszcze, na której zakończyła swoją karierę w administracji, nie są zbyt zachęcające.

Gdy szukać odpowiedzi na pytanie: kto tu rządzi?, można znaleźć zresztą wiele zaskakujących odpowiedzi. Niektórym może się wydawać, że rządzi na przykład nadal gen. Wojciech Jaruzelski, skoro Paweł Kowal stracił miejsce na liście PiS do parlamentu, uzgodnione w ramach koalicyjnego porozumienia zjednoczonej prawicy, gdyż prezesowi Kaczyńskiemu nie spodobała się jego książka o generale. Kowal ponoć za dobrze się o Jaruzelskim wyraził. No cóż, na koalicyjnych porozumieniach z prezesem niejedyn polityk już marnie wyszedł. I choć w kwestii rządu mamy sporo wątpliwości, to jednak są instytucje, które za sprawowanie władzy wzięły się na poważnie i skutecznie. Jak zwykle trop prowadzi w kierunku służb specjalnych oraz prokuratury, przejawiających szczególnie zapal do rządu w okresach przedwyborczych, kiedy to ujawniają się tam interesy poszczególnych politycznych lobbys. Jeśli ktoś chciałby dowodów, to właśnie je dostał. Najpewniej ze stanowiskiem będzie musiał się rozstać prezes Najwyższej Izby Kontroli Krzysztof Kwiatkowski. Odwołanie szefa NIK, wybranego na kadencję, chronionego immunitetem, a także określonym katalogiem warunków, w jakich można go odwołać, nie jest sprawą łatwą. A tu proszę, w ciągu



kilkunastu godzin prezes Kwiatkowski został ugotowany. Wystarczył przeciek do mediów przed północą, jedna poranna konferencja przed Prokuratorem Generalnym, że Kwiatkowski może mieć zarzuty, bo ustawiał konkursy w NIK, druga w słyszanej z ochrony praworządności prokuraturze katowickiej, gdzie odczytano kilka fragmentów podsłuchów – i po sprawie. Zanim marszałek Sejmu dostała wnioski o uchylenie immunitetu i zapoznała się z nimi, Kwiatkowski już mógł pisać rezonans. Można zresztą powiedzieć, że im szybciej zrezygnuje, tym lepiej, bo może jeszcze Sejm tej kadencji zdąży wybrać nowego prezesa. Jeśli będzie czekał na całą procedurę (wniosek prokuratury musi zaopiniować sejmowa komisja kontroli państwowej, potem przejdzie on na posiedzenie plenarne, gdzie wreszcie publicznie prezes może zabrać głos w swojej sprawie), skończy się kadencja i nowego prezesa będzie już wybierał nowy Sejm, ze spodziewaną nową większością. Czy stanowisko szefa NIK tejże większości podano na tacy? Prokuratura zapewnia oczywiście, że pracuje w swoim rytmie i z rytmem wydarzeń politycznych nie ma absolutnie nic wspólnego.

W sprawie Kwiatkowskiego wyszło jednak zupełnie inaczej, gdyż kalendarz prokuratorski idealnie pokrył się z kalendarzem politycznym. Nie wiemy, czy prezes Kwiatkowski rzeczywiście ustawiał konkursy na kierownicze stanowiska, co w Polsce nie byłoby niczym nadzwyczajnym. Coś jednak w tej sprawie ustalić można. Otóż konkursy w NIK zakończyły się na przełomie 2013–14 r. Znaczną ich część przeprowadził poprzedni prezes, z nadania PiS, w pośpiechu, tuż przed odejściem, czego raczej robić nie powinien, choćby w ramach dobrego obyczaju. To prokuratury jednak nie interesowało. Na Kwiatkowskiego trafiła (zapewne), podsłuchując jego rozmowy z posłem Janem Burym, który jest ścigany od dawna i od dawna ma mieć zarzuty, i to za jakieś kwestie korupcyjne ze sztabkami złota w tle. Teraz Bury też ma mieć zarzuty, ale już (jeszcze?) nie za sztabki, ale za wpływanie na decyzje prezesa NIK w kwestii kadrowej obsady delegatury NIK w Rzeszowie. Wypada więc przy okazji zapytać: a co ze sztabkami, których CBA szukało już dwa lata temu, także w hotelu sejmowym i biurze poselskim, wywołując spory kryzys polityczny? Podsłuchiwanie prezesa NIK trwało więc przynajmniej dwa lata? I sądy wyrażały na to zgodę?

CBA to najwyraźniej państwo w państwie, a w pracy prokuratury żaden pośpiech nie jest wskazany. Zamiast aresztów wydobywanych mamy wydobywcze podsłuchy? W każdym razie przy okazji podsłuchano, jak „ustawia” konkurs w Łodzi, podpowiadając kandydatowi, aby sięgnął do jego wystąpienia sejmowego, w którym mówił o swojej wizji funkcjonowania NIK (dostępne na stronach sejmowych) oraz zapowiadał podchwytliwe pytanie, jak sobie kandydat wyobraża funkcjonowanie łódzkiej delegatury. Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że ustawa o NIK dopuszcza do konkursów jedynie osoby zatrudnione w tej instytucji przynajmniej pięć lat, i to na stanowiskach kontrolerów, a więc prezes nie może ot tak zatrudnić swoich politycznych czy prywatnych znajomych, to rzecz wygląda dość kuriozalnie.

To wszystko ujawnił jednak z zapalem rzecznik prokuratury w Katowicach, cytując dość starannie wypreparowane fragmenty podsłuchów. Kolejne pojawiły się w gazetach. Już bez konieczności „docierania” do nich dziennikarzy, bo wniosek o uchylenie immunitetu Kwiatkowskiemu, w odróżnieniu od innych opatrzonych różnymi klauzulami tajności, cechuje się tym, że CBA nie zastrzegło w nim żadnej tajemnicy. Wszystko jest jawne i do dowolnego cytowania, co jest zdarzeniem bezprecedensowym w służbie tak bardzo tajnej. Oczywiście cytować można tylko to, co wybrała prokuratura, bo przecież nie całe rozmowy, a konteksty często zmieniają ogłęd sytuacji. Tak czy inaczej, Kwiatkowski już się nie wytłumaczy.

Gdyby ktoś chciał więcej dowodów na wszechwładzę służb, to dostał jeszcze informację, że nawet w rezydencji przy ul. Parkowej można nagrać rozmowę premiera z bardzo ważnym biznesmenem i tu już trudno obciążyć kelnerów. Ponoć jacyś byli funkcjonariusze mogą sprzedać nagranie rozmowy Donalda Tuska z Janem Kulczykiem, ale trzeba się pofatygować do Wiednia. Najwyraźniej jednak rozmowa jest mało atrakcyjna medialnie, gdyż biznesmen omawia swój strategiczny, ważny i dobry dla Polski projekt mostu energetycznego między Ukrainą i Polską i prosi o wywiadowczą osłonę. Komu w okresie przedwyborczym może chodzić o to, by ktoś dobrze mówił o Tusku lub nieżyjącym już Janie Kulczyku, który zgodnym zdaniem Antoniego Macierewicza i Romana Giertycha chciał polskie rafinerie sprzedać Rosjanom? Ciekawe, kto tym handluje? ABW nie wie, prokuratura nie wie. Może więc ktoś tylko manipuluje opinią publiczną. Czy zresztą jakieś służby mają czas na osłonę strategicznych interesów państwa, skoro od dwóch lat nie mogą dopaść posła Burego, o wykryciu sprawców tzw. afery taśmowej nie wspominając. Wyjąwszy trop biznesmena Falenty oraz dwóch kelnerów, od których się zaczęło i na których zapewne się skończy.

MÓJ KANDYDAT NA WRZESIEŃ!



HUAWEI
SMARTFON
P8 Lite

Aparat 13 Mpx
DUAL SIM
Pamięć 16 GB
Smukły design

849,-

CENA ~~1049,-~~

SAMSUNG
SMARTFON
S5 Neo

Aparat 16 Mpx
Ekran Super AMOLED
Pamięć 16 GB
8-rdzeniowy procesor
Wodoodporny

1599,-

NOWOŚĆ!



999,-

CENA ~~1099,-~~

Lenovo

LAPTOP G50-30 80G001SUPB
Procesor Intel® Celeron®
Pamięć 4 GB | Dysk 500 GB

1299,-

NOWOŚĆ!



GRA HALO i e-KURS EDUKACYJNY W KOMPLECIE
LAPTOP 2w1 10" HP 10-n010nw
Laptop z funkcją tabletu | Odłączana
klawiatura | Office 365 w zestawie

599,-

CENA ~~699,-~~

Lenovo

TABLET 8" A8-50 3G
Matryca IPS | Modem 3G

1799,-

CENA ~~1999,-~~



NOTEBOOK HP 15-ac033nw
Procesor Intel® Core™ i3 | Pamięć 4 GB
Dysk 1000 GB | Grafika Radeon R5 M330 2 GB

2499,-

CENA ~~2799,-~~



LAPTOP Inspiron 15 5558-3567
Procesor Intel® Core™ i5 | Pamięć 8 GB
Dysk 1000 GB | Grafika GeForce GT920 2 GB

2799,-

CENA ~~3199,-~~



LAPTOP Inspiron 15 3543-9674
Procesor Intel® Core™ i7 | Pamięć 8 GB
Dysk 1000 GB | Grafika GeForce GT840 2 GB



Microsoft
SMARTFON
Lumia 640 DS

Aparat 8 Mpx
DUAL SIM
Ekran IPS
Optyka Carl Zeiss

589,-

CENA ~~649,-~~

WIELKA PROMOCJA! EKSMITUJEMY WIRUSY! DO KAŻDEGO KOMPUTERA, SMARTFONA, TABLETU, DRUKARKI I MONITORA DODAJEMY ZAAWANSOWANY PAKIET OCHRONY INTERNETOWEJ!

*Wybrany produkt: komputer, smartfon, tablet, monitor, drukarka, sprzedawany jest w komplecie z pakietem ochrony internetowej o wartości 1 zł. Promocja obowiązuje do 31.01.2016 r. Pakiety McAfee Internet Security i McAfee Mobile Security nie obsługują systemów Windows Phone i Mac OS.

Ceny produktów z ogłoszenia „Mój kandydat na wrzesień” obowiązują od 26.08.2015r. z wyłączeniem cen smartfona Huawei P8 Lite oraz notebooka HP 15-ac033nw, których ceny obowiązują od 28.08.2015r. oraz z wyłączeniem laptopa HP 10-n010nw, którego cena obowiązuje od 21.08.2015r. Ceny produktów obowiązują tylko do 21.09.2015r. lub wyczerpania zapasów lub do odwołania w części lub w całości.

Wybierz swojego kandydata!
Sprawdź pełną ofertę sprzętów
w katalogu internetowym na **euro.com.pl**



Iść, nie iść?



Jerzy Baczyński

Odkąd, po przegranej w pierwszej turze wyborów, Bronisław Komorowski ogłosił zamiar rozpisania trójpytaniowego referendum, miałem nadzieję, że jednak do głosowania nie dojdzie. Że wycofa się (a miał liczne preteksty) sam inicjator, że nie zgodzi się Senat, że nowy prezydent spróbuje zatrzymać bieg zdarzeń, może Trybunał Konstytucyjny negatywnie się wypowie? Nie, nikt nie nacisnął na hamulec. Do Bronisława Komorowskiego, przecież odpowiedzialnego polityka i dobrego prezydenta, nie mam nawet żalu, że dał się ponieść emocjom powyborczej nocy, ale że brnął w to niemądre przedsięwzięcie do końca. To że Andrzej Duda, dla czysto wyborczej rozgrywki, przeliczył i ogłasza swoje referendum – z bodaj jeszcze bardziej niedorzecznymi pytaniami – jest już tylko cyniczną konsekwencją grzechu pierworodnego: włączania referendum do zwykłej kampanii wyborczej, najpierw prezydenckiej, potem parlamentarnej. Politycy wszystkich opcji powinni jak najszybciej tego dzina zagonić do butelki (może to zrobić już Senat, blokując inicjatywę Dudy), bo jest to broń śmiertelnie niebezpieczna dla nich samych.

Refendum omija całą demokratyczną strukturę podejmowania decyzji w państwie, zawiesza kompetencje posłów, senatorów, premiera, prezydenta, z ich ekspertami i kalkulacjami, teoretycznie może obalić każdą decyzję parlamentarnej większości. W demokracji przedstawicielskiej Głos Ludu jest potężny i niszczący jak trąby jerychońskie, które raczej nie powinny przygrywać do obiadu. Radosna zapowiedź prezydenta Dudy, że już „milion podpisów Polaków” będzie wywoływać obligatoryjne referendum, jest jeszcze groźniejsza niż większość konstytucyjnych pomysłów PiS, które mają zdemontować w Polsce liberalną demokrację. Milion podpisów, zwłaszcza na fali podkreślane go przez media emocjonalnego wzburzenia, można zebrać bez trudu; ba, nawet uzyskać frekwencyjną większość, żeby np. przywrócić karę

śmierci, kastrować pedofilów, znacjonalizować banki, każdego recydywistę wsadzać do więzienia na 5–10 lat (takie referendum wypełniło więzienia w Kalifornii), obniżyć najbiedniejszym opłaty za prąd (też Kalifornia, przed blackoutem), skrócić staż emerytalny do 30 lat, zabrać diety posłom, karać więzieniem szkalujących Polskę, odwołać prezydenta... (ups, sam zaczynam się rozpędzać). Można powiedzieć, że PiS, proponując takie rzeczy, kpi głównie z własnych wyborców, ale przecież ta satyryczna formacja za moment może mieć pełnię władzy w Polsce.

Te ogólne uwagi są po to, aby obniżyć poczucie winy u tych czytelników, którzy wahają się, czy brać udział w referendum. Bo jak nie iść, kiedy się zawsze chodziło na wybory; zresztą to referendum firmuje Komorowski, na którego się np. głosowało – słowem, sytuacja jest niezręczna. Jeśli argument, aby nie autoryzować nadużywania instytucji referendum do banalnych kampanijnych rozgrywek, nie wystarcza, warto zwrócić uwagę na pewne szczególne aspekty tego akurat przedsięwzięcia. Merytorycznie, jak już pisaliśmy parokrotnie, mętne pytania uniemożliwiają udzielenie jasnej odpowiedzi: nie wiadomo, do czego miałyby prowadzić nasze „tak” lub „nie”. W sumie – obrażają zdrowy rozsądek. Kampania przedreferendalna niczego nie wyjaśniła, była żałośnie komiczna (czyt. s. 13, a także art. o Lasach Państwowych s. 24), politycznie osierocona, jakby nikt się do tego referendum nie przyznawał, a ewentualnie głosujących traktował jak ludzi niepoważnych. Sam Kukiz z obsesją JOW, który w noc powyborczą musiał wyglądać groźnie i potężnie, skurczył się w tym czasie do rozmiarów kukielki.

Wreszcie, referendum to nie są „zwykłe” wybory, w których frekwencja formalnie nie ma znaczenia dla ich ważności. Jeśli ważność referendum wymaga 50-procentowej obecności, to absencja jest też wyrażeniem woli (nie chcę zmiany, temat mnie nie obchodzi, nie czuję się kompetentny, zostawiam decyzje politykom). W referendum w sprawie odwołania prezydent Warszawy, a także w innych lokalnych, niepójście do głosowania było głosowaniem przeciwko inicjatorom. Szkoda, że prezydent Komorowski będzie musiał – i tu akurat powinien – przeagrać jeszcze raz.

W PRL, kiedy władza wzywała do masowego uczestnictwa w bezsensownym głosowaniu, modne było powiedzonko: „na wybory – jestem chory”. Czuję, że teraz bardzo dużo osób będzie chorych. Trudno. Byłoby wyzdrowieli na wybory parlamentarne.

Szansa Dudy



Adam Krzemiński

Dobrze, że Andrzej Duda zerwał z autyzmem PiS, którego twórcy ogłosili program ochładzania stosunków z Niemcami i szczylicili się, że nie bywają za granicą i nie znają języków obcych. Teraz „Frankfurter Allgemeine” na pierwszej stronie zamieściła pozytywne słowa prezydenta RP o rosyjskiej polityce Angeli Merkel oraz jego rozbrajające wyznanie: „Ja po prostu lubię Niemcy”. Ale dla PiS nic tu nie jest po prostu. Przez lata partia ta budowała swoją pozycję na anachronicznych antyniemieckich nastrojach – machinalnie sięgając do wzorców propagandy z lat 60. czy 80. A będąc u władzy, nie stworzyła własnej sieci niemieckich kontaktów na najwyższym szczeblu.

Duda ma szansę wyprowadzić polską prawicę z tej psychologicznej pułapki. Już po majowym zwycięstwie niemieckie media i niemieccy politycy dali mu dość duży kredyt zaufania. Należy do młodej generacji, poprzez żonę germanistkę poznał Niemcy, a jako europoseł – Europę. To był dobry zadatek. Tym bardziej polityczny Berlin był ciekaw, jakimi argumentami młody konserwatysta pogodzi naro-

dowe ambicje swego kraju z empatią wobec kłopotów europejskich partnerów i euroatlantycką współodpowiedzialnością. Ten pierwszy test wypadł obiecująco.

Od europejskiej solidarności zależy przyszłość UE, pisal w „Tagesspiegelu” Christoph von Marschall. Jeszcze nie tak dawno słowo „solidarność” miało polskie brzmienie. „Dziś Polska mierzy solidarność stopniem wsparcia przeciwko agresywnej Rosji. Niemcy – solidarnością w rozdziale uciekinierów. Tylko wtedy, gdy oba kraje wykażą więcej solidarności z nadziejami partnera, może odrodzić się zaufanie”.

Akurat w rocznicę podpisania porozumień sierpniowych (zresztą bardzo złe, antagonizujące, rozegrane przez prezydenta Dudę) należy dodać, że zasada solidarności to więcej niż klasyczna formuła godzenia egoizmów *do ut des* – daję, abys i ty dał. Solidarność europejska polega na tym, że problemy sąsiada są także naszymi, tak jak nasze – jego. I tylko wspólnie można je rozwiązać. UE to wciąż (niestety i na szczęście) naczynia połączone – Ukraina, Grecja, śródziemnomorskie tsunami uciekinierów – to są problemy centralne, dotyczące tak Polski i Estonii, jak Portugalii czy Hiszpanii. A brytyjski historyk Brandon Simms przypomina, że od 500 lat kluczem do Europy pozostają Niemcy. Jarosław Kaczyński przełożył to na porównanie UE z niemieckim dominium.

Andrzej Duda zdaje się zrywać z tą paranoiczną wizją Europy. Zobaczymy, jak głęboko sięga ta jego rewizja pisowskich dogmatów. I na ile potrafi naszkicować swe własne „Myśli nowoczesnego Polaka”. Obie jego pierwsze wizyty, w Tallinie i Berlinie, są być może sygnałem zwrotu.

Koncert życzeń



1

Kampania przed referendum dostarczyła kolejnych dowodów na to, że Polak potrafi: wypromować się za publiczne pieniądze i jeszcze trochę zarobić.

ANNA DĄBROWSKA

Przez dwa tygodnie kampanii, aż do ciszy wyborczej, w telewizji publicznej (TVP 1, TVP 2, TVP Polonia i w oddziałach regionalnych – łącznie 25 godzin) oraz Polskim Radiu (na antenach głównych i regionalnych – 30 godzin) emitowane są bezpłatne spoty referendalne. Czas antenowy dostały od PKW 133 stowarzyszenia, fundacje, organizacje społeczne i partie polityczne, ale z telewizyjnego skorzystało chciało 74 z nich, z radiowego 40. – *Wiele nie skorzystało z niego, ale też mają prawo obsadzić komisje wyborcze i na tym głównie im zależało* – słyszymy w PKW. Członkowie obwodowych komisji referendalnych otrzymują diety: przewodniczący – 180 zł, zastępcy – 160 zł, członkowie – 140 zł.

Przewodził się cyrk. Średnio taki referendalny blok reklamowy trwa 10 minut i każdy może przez swoje minuty wygłosić, co mu się podoba, a co często z zarządzonym referendum nie ma nic wspólnego. Bo jak się ma do niego choćby ten spot, na którym bohater przedstawia się dokładnie tymi słowami: „Marian Barański, prezes Stowarzyszenia Narodowego im. Romana Domowskiego w Warszawie, tel. [tu pada dziewięćcyfrowy numer komórkowy – red.]. Jesteśmy dziedzicami Stronnictwa Narodowego Obozu Wielkiej Polski, Obozu Narodowo-Radykalnego, Narodowych Sił Zbrojnych i Ligi Narodowo-Demokratycznej, organizacji konspiracyjnej PRL”. Co pan chciał przekazać w tym spocie? – *Niewiele zdążyłem, ale w TVP nakręcili więcej i puszczą coś jeszcze w kolejnych moich spotach* – tłumaczy Barański. TVP i Polskie Radio ustawowo mają też za darmo udostępniać swoje studia i delegować pracowników do nagrań. Choć słowo spot jest tu raczej nadużyciem.

To coś w rodzaju oświadczeń wygłaszanych bez żadnej oprawy. Albo plansza z napisami, jak ta: „Odpowiedz na trzecie pytanie: My Chrześcijaństwo uważamy, że szanowane ma być prawo każdego człowieka do godności osobistej i rozwoju. Doraźne grupy interesów rządzących nie powinny naruszać tej zasady”, a pod tekstem adres internetowy.



2



3

© GETTY IMAGES (2), EAST NEWS

Spoty reklamowo-referendalne.

1. „Przedsiębiorczy z Podlasia”.
2. Nagłaśniający działalność Fundacji Akademii Promocji Dzieci.
3. Drżące przed JOW ręce polityk w materiale byłych kukizowców.

Pierwszy raz ten zabieg zastosował kandydat na prezydenta w 1995 r. Kazimierz Piotrowicz, który w darmowym czasie antenowym, bardziej niż swoją kandydaturę, hasłem „rozsądek, sprawiedliwość, zdrowie” promował produkowane przez siebie bioenergoterapeutyczne wkładki do butów. W kończącej się w piątek w nocy kampanii referendalnej wielu pozostło w jego ślady. – *Dzwonią do nas mocno poirytowani słuchacze, bo pierwszy raz w naszym radiu usłyszeli muzykę disco polo, a to była oprawa muzyczna kilku audycji referendalnych. Poziom większości materiałów jest katastrofalny, zaburza ramówkę, psuje naszą wiarygodność* – mówi jeden z radiowych wydawców. Jak się dowiadujemy, w tej sprawie spotkali się nawet dyrektorzy Polskiego Radia, ale nic nie mogą z tym fanatem zrobić. Trzeba zacisnąć zęby, bo wszystko odbywa się zgodnie z prawem. Media publiczne ratują się informacją po każdym bloku referendalnym, że: „odpowiedzialność za treść i jakość audycji ponoszą podmioty uprawnione”.

W ustawie o referendum ogólnokrajowym czytamy, że prawo do bezpłatnego czasu antenowego mają podmioty, „które prowadzą działalność związaną z przedmiotem referendum, a działalność ta mieści się w zakresie jej celów statutowych”. Odmowę z PKW dostało tylko sześć organizacji, m.in.: Ochotnicze Straże Pożarne w Ostrowcach Tuszowskich i w Pajęcznie, Fundacja Bezpieczny Kraków oraz Kowarski Klub Seniora. Kilkuosobowy zespół prawny w PKW wczytywał się w cele statutowe zgłoszonych podmiotów i interpretował je dość liberalnie.

Zazwyczaj wystarczył statutowy zapis o promowaniu demokracji albo działaniu na rzecz zaradności, jak w przypadku Fun- ▶

► dacji Akademia Promocji Dzieci, która na Facebooku chwali się, że nakręciła swój pierwszy spot, który pokaże TVP. Oto jego treść, wygłaszana przez zarząd fundacji na tle bawiących się na placu zabaw dzieci: „Już 20 lat pomagamy dzieciom, niepełnosprawnym, młodzieży i osobom poszkodowanym przez los. Kształujemy zaradność i samodzielność. Promujemy integrację, Europę, demokrację, patriotyzm. Twój głos jest bardzo ważny. Liczy się. Zachęcamy – idź 6 września na referendum”. Na końcu pojawia się plansza z KRS fundacji, z adresem i apelem o wpłatę jednego procenta.

Dla odpowiedzialnych w TVP za emisję owych spotów ten dość luźny związek wielu audycji z przedmiotem referendum był trudny do przyjęcia. Zwrócili się do PKW z pytaniem, co robić, kiedy, mówiąc wprost, nijak się mają do pytań o JOW, finansowanie partii czy interpretację przepisów podatkowych na korzyść podatnika. – *Odpowiedzieliśmy, że ustawa nie daje podstaw ani PKW, ani mediom publicznym do oceny tych materiałów. Można ingerować jedynie w przypadku, gdyby te spoty namawiały do łamania prawa – mówi Krzysztof Lorenc z Krajowego Biura Wyborczego.*

Kilkanaście organizacji w ogóle nie przyniosło swoich materiałów i w TVP przez cały czas dla nich przeznaczony pojawia się informacja: „nie dostarczył audycji referendalnej”. Ale wielu postanowiło wykorzystać ten czas, bardzo sprytnie dostarczając ten sam spot. W jednym bloku emitowany jest więc kilka razy ten sam materiał, dostarczony przez różne organizacje, ale reprezentowane przez tych samych ludzi.

Na taki model wypromowania swojej działalności wpadli Krzysztof Mnich i Paweł Backiel – jak głoszą w spocie – „reprezentujemy przedsiębiorcę Podlasie”. Panowie okazali się bardzo przedsiębiorczy, bo – jak sprawdziliśmy w KRS – reprezentują przede wszystkim trzy swoje fundacje: Rozwoju Compliance; Rozwój i Prawo; Rozwiązania HR. PKW potraktowała ich zgłoszenie jako trzy oddzielne podmioty i każdemu przyznała prawo nadawania bezpłatnej audycji. Każda brzmi dokładnie tak samo: „Paweł Backiel, Krzysztof Mnich – reprezentujemy Przedsiębiorcę Podlasie. Dwie rzeczy są pewne – śmierć i podatki. Przedsiębiorcy chcą je płacić i się rozwijać. Polski biznes i rodzinne firmy czekają na nową ordynację podatkową, która jest fundamentem bezpiecznego i stabilnego rozwoju polskiej gospodarki”. Każda z ich fundacji prowadzi działalność gospodarczą, a zarabiają np. na prowadzeniu ksiąg rachunkowych, sporządzaniu biznesplanów, nauce sztuki autotopreencji, selekcji pracowników i doradztwie biznesowym.

Konia z rzędem temu, kto doczyta się w ich spocie powiązania z pytaniami referendalnymi. Pytamy o to Pawła Backiela: – *Pierwsze dwa pytania o JOW i finansowanie partii są polityczne i nie mają wpływu na ludzi, do których kierujemy naszą działalność. Zależy nam na pozytywnym rozstrzygnięciu trzeciego pytania. Tyle że ono jest bezprzedmiotowe, bo Sejm rozstrzygnął już o tym w ustawie. Ten sam spot z udziałem Backiela i Mnicha tylko w radiowej Jedynce i Trójce jest emitowany 30 razy (!). – Przy porannych audycjach ponaddwuminiutowy spot kosztuje w Programie Pierwszym ok. 18 tys. zł, a w Trójce 20 tys. zł – mówi Radosław Kazimierski, rzecznik Polskiego Radia. Dodaje, że gdyby radiowa Jedynka i Trójka sprzedały cały czas poświęcony na audycje referendalne, to wystawiłyby rachunek na ok. 580 tys. zł. Cztery bloki spotów referendalnych emitowane w piątek przed ciszą wyborczą w TVP 1 i 2 (łącznie 50 minut) są warte ok. 164 tys. zł. Zrzeszeni w Ruchu Obywatelskim na rzecz JOW (ludzie, którzy tworzyli prezydencki sztab wyborczy Pawła Kukiza, ale pożegnali się z nim, kiedy ten przywitał się z narodowcami, m.in. Krzysztofem Bosakiem, Robertem Winnickim) zgłosili się do PKW jako reprezentanci dziewięciu organizacji i każda dostała swój czas antenowy. Są wśród nich m.in. Stowarzyszenie*

Kampanii referendalnej nadal brak rumieńców. Czerwienią się za to ze złości widzowie, którzy oglądają spoty, i ze wstydu wydawcy mediów publicznych, którzy muszą je pokazywać.

Rozwoju Miejscowości Zając, Gminy Liw i okolic „Lepus”; Stowarzyszenie Dzielnicy-Tata; Stowarzyszenie Komitet Obywatelski Miasta Koszalina. Prezentują w darmowym czasie pięć wspólnych spotów, których motytem przewodnim są kolejno różne części ciała polityków. Przekaz ten sam: że jak wprowadzone zostaną JOW, „to brzuch politykowi spadnie” (bo będzie się musiał napracować), „przestanie przebierać nogami” (bo będzie chodził jak w zegarku), „zepnie pośladki” (bo będzie musiał wziąć się do roboty) itp. Co do wartości estetycz-

nej tych spotów można mieć wiele zastrzeżeń, ale przynajmniej wiadomo, że chodzi o JOW, a to o nich m.in. jest to referendum.

A o co chodzi Romanowi Giertychowi, prezesowi Instytutu Myśli Państwowej, który w gabinecie swojej kancelarii adwokackiej nagrał referendalny spot i wykupił kilka billboardów w Warszawie i okolicach? Mówi o tym wprost: – *Moje zaangażowanie w kampanię ma oczywiście związek z tym, że zmierzam kandydować do Senatu. Będę więc wykorzystywał każdą okazję do wystąpienia.*

Darmowy czas antenowy z myślą o jesiennych wyborach parlamentarnych wykorzystuje też Komitet Wyborców Grzegorza Brauna „Szczęść Boże”, do PKW zgłoszony jako stowarzyszenie Zielony Kraków. Ich przedstawiciele w koszulkach z nazwiskiem Braun w spocie witają wolnych Polaków i deklarują, że już dziś zaczynają obalać ten system, ale „najważniejsze kwestie dla Polski rozstrzygną się w najbliższych wyborach”.

PO, oszczędzając pieniądze na kampanię parlamentarną, swoje zaangażowanie ograniczyła do minimum.

Jeden spot i billboardy (z napisem: PiS jest za utrzymaniem finansowania partii z budżetu, a PO przeciw) to prosty przekaz, który ma utrzymać wyborców w przekonaniu, że na scenie politycznej obowiązuje podział na oni – PiS, i my – PO. Wybór jest czarno-biały. Dwa tygodnie przed referendum Danuta Pietraszewska z zarządu PO mówiła, że partia jest dopiero na etapie organizowania kampanii. Dość późno się za to zabrała. Przerzucanie się emocjonalnymi hasłami między dwoma najważniejszymi graczami politycznymi w żaden sposób nie odnosi się do meritum referendalnych spraw. Żadna z partii nie podjęła nawet próby wy tłumaczenia, na czym polega wyższość jednych odpowiedzi nad drugimi.

PSL namawia w spotach do przekazania tych ponad 100 mln, potrzebnych na organizację referendum, na ratowanie rolników po suszy, co jest wyraźnym sygnałem przedwyborczym dla własnego wiejskiego elektoratu. A PiS referendum Platformy oficjalnie ignoruje i stara się odwrócić uwagę od niewygodnych dla siebie pytań, więc zaprzędoł prezydenta do organizacji swojego referendum w dniu wyborów, 25 października. – *To referendum to nieudolna próba ratowania się Bronisława Komorowskiego przed drugą turą wyborów i nie zamierzamy brać w tej szopce udziału – mówi Elżbieta Witek, rzeczniczka PiS. Jednak organizacje mocno kojarzone z partią Jarosława Kaczyńskiego korzystają z przywileju darmowego czasu antenowego. Ruch Kontroli Wyborów, pod przewodnictwem Ewy Stankiewicz i Solidarnych 2010, promuje w spotach swój, niezależny od PKW, system liczenia głosów, który ma przypilnować wyników jesiennych wyborów parlamentarnych. Do monitorowania referendum nawołuje w spotach Reduta Dobrego Imienia, też związana z PiS, bo wspólnie organizują konferencje prasowe, występowała na katowickiej konwencji programowej partii. Andrzej Celiński, przewodniczący Partii Demokratycznej, przekazał w spocie, że: „To referendum to jakaś kompletna ściema”, a na blogu dopisał, że „6 września jadę rowerem do lasu”. Do referendum zostało kilkadziesiąt godzin, a kampania wciąż nie nabrała rumieńców. Czerwienią się za to ze złości widzowie, którzy oglądają spoty referendalne, i ze wstydu wydawcy mediów publicznych, którzy ustawowo muszą je pokazywać.*

ANNA DĄBROWSKA, WSPÓŁPRACA MATEUSZ MARCHWICKI